

## **Primal Scream**

### **Z Maurycym Gomulickim rozmawia Agnieszka Szewczyk**

**To jeden z twoich najdłuższych projektów, trwa już prawie 11 lat; w tym czasie zbudowałeś archiwum znikającego fenomenu. Czy wiesz, ile masz zdjęć?**

Myślę, że dobrze ponad 2000 i około 200 zarejestrowanych przypadków osobowych, z tym że intensywność fotografowania była bardzo różna.

**Właśnie o tę dynamikę zmiany chciałam cię zapytać.**

Początek każdej kolekcji wygląda podobnie: pojawia się kilka artefaktów, które tworzą zbiór — odnotowujesz to i jeżeli dane zjawisko działa na ciebie, rozpoczyna się ekspansja. Pierwsze zdjęcie strzeliłem dość przypadkowo. W tego typu zapoznaną przestrzeń miałem już wejście przez moje zdjęcia warszawskie — rejestrowałem zdarzenia liryczno-estetyczne, pozostałości z rzeczywistości minionej, która mi się materializowała na poziomie mikroarchitektury [photobook *W-wa*], a tu się zdarzyło coś podobnego, tylko na poziomie ludzkim. Wiosną 2007 na Helu natknąłem się na marynarza. Wieloryb na jego ręku był na tyle mocny, ekspresyjny i pokraczny, że go sfotografowałem. Potem pojawiło się drugie zjawisko, trzecie, i moje zainteresowanie poszło tym tropem, wkręciłem się w temat i radar zaczął działać. Nie jestem jednak reporterem, który jedzie w trasę na trzy miesiące, żeby zrobić materiał — to nie była jedyna rzecz, którą się przez te dziesięć lat zajmowałem. W szczytowej fazie projektu (2011–2012) zdarzało mi się fotografować jednego dnia pięciu panów. Ale dynamika była determinowana przede wszystkim przez to, że jest to zjawisko marginalne i odchodzące, tych ludzi jest coraz mniej. Najstarszy tatuaż, jaki sfotografowałem pochodzi z 1949 roku, ale większość sytuuje się pomiędzy drugą połową lat pięćdziesiątych a końcem lat siedemdziesiątych, czyli dziś ich właściciele dobijają do osiemdziesiątki i albo nie wychodzą już z domów, albo odsiadują kolejne wyroki, albo zgoła nie żyją. To jest ewidentnie znikający punkt, rozmywająca się fatamorgana. Cieszę się, że zabrałem się do tego w odpowiednim momencie.

**Gdzie najczęściej fotografowałeś?**

W moim naturalnym kolekcjonerskim habitacie: na pchlich targach i innych szemranych bazarach. To są miejsca, przez które przewijają się ludzie z przeszłością — tatuaże więzienne pojawiają się tam dość regularnie. Z kolei w miastach portowych trafiałem nie tylko na

kryminalistów, ale też na marynarzy. De facto, jeśli idzie o tatuaż, jest to najpierwsze skojarzenie: pirat — podróżnik — marynarz. Tak więc: bazy, dworce kolejowe, bary mleczne, zaniedbane, wymarłe parki, nabrzeża wiślane, różne takie zmarginalizowane miejskie przestrzenie, gdzie można uciec na piwo w krzaki, ale zdarzało mi się też, że szedłem np. po truskawki na plac Wilsona, a faceci stojący przy straganie aż ociekali tuszem. Interesującą przestrzenią jest też wieś i tu pojawia się ładna paralela, bo wiem, że ciebie w tym wszystkim pociągała widoczna w rysunkach tęsknota za egzotyką. Wiadomo, że marynarze przywozili te tatuaże z dalekich podróży — lubimy myśleć, że np. z Borneo, ale pewnie raczej z Hamburga, choć w 1965 czy 1970 roku Hamburg to była też daleka i egzotyczna rzeczywistość. Dla chłopca z Podlasia w 1950 roku wyprawa na Śląsk za chlebem była podróżą życia. Tych wiejskich tatuaży mam stosunkowo niewiele, one pochodzą właśnie z takich wyjazdów do stoczni czy kopalni albo z hufców pracy, z wojska.

**Na wystawie i w książce prezentujesz materiał zbierany tylko w Polsce, choć robiłeś też zdjęcia np. w Bułgarii...**

Coś strzeliłem też na Ukrainie czy Białorusi, sfotografowałem kilku Cyganów — tych ostatnich europejskich nomadów, ponieważ jednak chciałem, żeby była to monografia polskich dziar, w książce i na wystawie masz tylko Polaków. Na mapie wygląda to tak: Szczecin, Gdynia, Gdańsk, Białystok, Poznań, Kraków, Katowice, Wrocław — tu wyjątkowo owocny okazał się Świebodzki, jeden z moich ulubionych pchlich targów — bazar o szczególnej lirycznej przestrzeni, którą tworzą tory kolejowe biegnące w siną dal. Dominuje oczywiście Warszawa i moje najbliższe okolice: Żoliborz, Wola, Ochota. W pewnym momencie miałem już tyle zdjęć i byłem tak wkręcony w temat, że starałem się nie wychodzić bez aparatu. Szedłem na Olimpię z pełną świadomością, że nie tylko chcę tam kupić jakieś artefakty, które sprawią mi fetyszystyczną radość, ale też, że jest to idealne miejsce do łowów na dziary.

**W twoim projekcie, co widoczne jest zwłaszcza na wystawie, ważne jest wyrwanie tego zjawiska z kontekstu tzw. subkultury więziennej, badanej przez etnologów, socjologów, i przetransponowanie go w sferę współczesnej sztuki wizualnej.**

To, że *gros* przypadków to są kryminaliści, wynika z prostego faktu, że oni mają tych tatuażów najwięcej. Jak ktoś dziarał się w wojsku, hufcu pracy czy szkole górniczej, robił sobie zwykle jeden, dwa wzory. Marynarze mają ich już więcej, bo przywozili je z kolejnych rejsów, natomiast recydywiści często są dokumentnie zabazgrani, bo spędzali długie lata za kratami, gdzie dysponowali w nadmiarze pustym (bo trudno go nazwać wolnym) czasem.

Było to co prawda zakazane, ale jak widać dało się zrobić. To nie tak, że ja, jak mały ptaszek stojący oko w oko z kobrą ulegam jakiejś mesmerycznej fascynacji strasznością tego świata. Mnie nie interesowali kryminaliści jako tacy — skrzywdzeni krzywdziciele — tylko autentyczność zjawiska, jego ekspresyjny potencjał. I tu jest ten punkt, gdzie dobrze się rozumiemy. Swego czasu użyłaś odwołania do Lascaux — tak, interesuje mnie właśnie ten „rysunek naskalny”. Z jednej strony pociąga mnie sublimacja i wyrafinowanie, a z drugiej strony pierwotna wrażliwość na granicy skrajnej prymitywności. Interesuje mnie to, co rudymentarne, to, co leży u podstaw. Powala mnie ten potworny ekspresyjny potencjał brutalnego tatuażu. To jest krzyk. Tu chodzi o rzeczy absolutnie najbardziej podstawowe: miłość i śmierć, rozpacz i nadzieję, marzenia, tęsknotę, nienawiść czy zemstę.

**Dla mnie pociągająca w twoim projekcie, czy raczej zebranych materiale, była jego absolutna nieprzystawalność do współczesnych wzorów wszelakiej poprawności, dyskursów równościowych, feministycznych. To jest konkretne wyzwanie: zmierzyć się z wyobrażeniami o kobietach tatuowanych na ciałach kryminalistów i nie wpaść w koleiny, które każą ten materiał albo odrzucić, albo krytykować z oczywistych pozycji — obie opcje są poznawczo jałowe.**

Kobieta jest absolutnie dominującym motywem, właśnie ona, nie sztylet, nie czaszka czy serce przebite strzałą. Zasadniczo pojawia na dwóch poziomach: silnie spersonalizowanym jako ukochana dziewczyna, żona, Beatka, Mariolka, Tereska — ktoś, za kim się tęskni, bo jest się daleko, w wojsku, w rejsie dalekomorskim czy więzieniu, ale także jako podmiot jakiejś obsesyjnej fascynacji, czyli np. piosenkarka, aktorka, lecz przede wszystkim anonimowa kobieta traktowana jako byt seksualno-estetyczny, obiekt kultu. Wiesz, dziś tatuaż jest egalitarny i przeszedł do przestrzeni kobiet, natomiast w czasach, których powidok rejestruję, była to zdecydowanie domena mężczyzn. Oczywiście, wiadomo, jak można kasować facetów za ich prymitywny stosunek do kobiet i seksualności, ale z drugiej strony największe uniesienie estetyczne przeżywają oni wobec ślicznej dziewczyny, cudownej lali, przepięknej pani, soczystej dziwy — jakkolwiek to nazwiemy. Ten najczęstszy, totalnie instrumentalny stosunek do kobiety nie zmienia faktu, że ona jest podstawowym podmiotem zachwytu, a mnie zachwyt jako emocja szalenie interesuje.

**Projekt *Dziary* jest swoistym kontrapunktem w tym, czym się zajmujesz, z czego jesteś najbardziej znany — propagowaniu kultury rozkoszy.**

Świadomie zajmuję się różnymi sferami, które uważam za zaniedbane i porzucone, a które

dla mnie są bardzo ważne. Celebрую urodę świata na różnych poziomach, począwszy od fetyszystycznych, turbokolorowych zdjęć dziewczyn czy moich neonowych autoportretów, a skończywszy na meandrach chodnikowych płytek czy plamach benzyny na asfalcie. Jeśli świadomie poruszam się w takiej idealnej, rajskiej sferze, programowo opowiadam o pozytywnych emocjach, to choć izoluję się od pewnych zjawisk, np. nie obserwuję na bieżąco polityki, nie mogę się w stu procentach odizolować od wszystkiego, co brzydkie, smutne, złe, bo kompletnie bym się odkleił od rzeczywistości, a jednak próbuję prowadzić z nią dialog. Nie chciałbym się zamknąć w kryształowym pałacu. Zresztą piękno to jest tricky subject. Jest przecież jeszcze zjawiskowość, unikalność, jest siła, szczerłość.

### **Wzruszenie...**

Trochę to jest tak, że jak widzisz cudownie współcześnie „odcykaną”, pięknie wyrysowaną główkę kobiety, to jest to po prostu śliczny obrazek, a jak widzisz twarz Ireczki wyrytą gwoździem na czymś przedramieniu z koślawym sercem obok, to wiesz, że to jest historia o miłości! I to jednak działa. Ten potencjał autentyczności wydaje mi się cholernie ważny.

### **Przy okazji wystawy ukazał się photobook z wyborem zdjęć, ale wyzwaniem według mnie było przetransponowanie tego materiału w taki konstrukt jak wystawa w galerii sztuki.**

Photobook trochę wynika z mojego bibliofilstwa. Poza tym książka jest rodzajem nobilitacji. Dla mnie w kontaktach z tymi ludźmi bardzo istotny był szacunek, bo nie chodzi tu o obśmiewanie ani sarkazm — mnie to wszystko przede wszystkim porusza. Nigdy nie mówię o bohaterach tych zdjęć protekcyjnie, po imieniu, tylko zawsze jest to pan Marian, pan Heniek itd. Moja relacja z nimi była oparta na fascynacji, szacunku i klarowności. Często ze strony osób, które dały mi się sfotografować, była to bardzo mocna ekspozycja — moment, kiedy prosi się nieznanego, przeoranego życiem człowieka, żeby zdjął koszulę, jest przekroczeniem. To bardzo ważne, aby fotografowani przez mnie ludzie wiedzieli, że nie zbieram materiału do panoptikum, więc zawsze jasno tłumaczyłem, co mnie interesuje i dlaczego chciałbym to sfotografować.

Jeśli chodzi o wystawę, to podstawowy problem polegał na tym, jak sobie poradzić z ogromem materiału, i jak ją zaaranżować, aby była czytelna. Natomiast, jak to umiejscowić w przestrzeni sztuki... nie sądzę, aby w jakimkolwiek moim projekcie było to ważne. Nie odżegnuje się od bycia artystą, nie deprecjonuję sztuki. Jest bardzo dużo dobrych artystów, którzy świadomie produkują sztukę, często bardzo dobrą, natomiast dla mnie w ogóle nie jest istotne, czy to, co robię, kwalifikuje się jako sztukę. Ktoś kiedyś napisał o mnie, że ja nie

robię sztuki, tylko zajmuję się upiększaniem świata. Jak najbardziej! Nie tylko zajmuję się upiększaniem świata, więcej, upiększanie świata jest czymś, co wydaje mi się istotne.

Na początku tego projektu interesowały mnie rzeczy najprostsze, najbardziej brutalne, wręcz nieudolne, robione groszową, zaostrzonym drutem, ale kiedy się w projekt wkręcasz i on się ciągnie nie rok, ale dekadę, to rejestrujesz całą masę odcieni i nagle okazuje się, że spotykasz też niesamowicie wytatuowanych ludzi, przynależących do tego samego uniwersum, którzy noszą wzorasy zrobione znakomicie, w sposób wyrafinowany, choć wciąż są to dziury wykonane przez amatorów, a nie przez studia czy znanych artystów tatuażu. To jest temat bardzo trudny do fotografowania, bo masz mało czasu — kilka minut, chaotyczne otoczenie, słabe albo zbyt ostre światło. Wcielając się w rolę antropologa, pozostając jednak esteta i uważam, że co innego brutalna ekspresja prymitywnego rysunku, a co innego źle skomponowane zdjęcie. Więc na potrzeby wystawy musiałem dokonać takiej selekcji, żeby wybrać te przedstawienia, które są maksymalnie efektywne i wydaje mi się, że takiej selekcji dokonaliśmy. Wystawa ma uświadomić pewien fenomen, a nie wierzę w komunikowanie się na poziomie obrazu, który jest słaby. Chciałem zmaksymalizować potencjał.

W tej chwili jest np. bardzo dużo wytatuowanych brodaczy, bo mocno skonsolidowała się już kultura hipsterska, czy wytatuowanych dziewczyn, co z kolei wpisuje w powszechne tendencje feministyczne, równościowe, potrzebę manifestowania własnej siły, pokazania, że nie jest się wiotką, eteryczną istotką, która potrzebuje męskiego wsparcia, demonstracji, że samemu stoi się mocno na nogach. Tylko to są tatuaże robione z zupełnie innej perspektywy, w innej intencji i kontekście, przy sporej społecznej akceptacji. Ten fenomen przemieścił się kulturowo. Z jednej strony tatuaż stał się zjawiskiem powszechnie oswojonym, a z drugiej szalenie się wyrafinował estetycznie. Jeśli dziś tatuaż funkcjonuje jako sztuka, to może warto przypomnieć jego korzenie. To, że powstał z fundamentalnej potrzeby manifestowania spraw najważniejszych, że to jest primal scream. Nie byłoby współczesnego tatuażu, gdyby nie żołnierze Legii Cudzoziemskiej, marynarze i kryminaliści. Wierzę, że ta wystawa ma głębszy sens i zadziała.

Żoliborz, 22 czerwca 2018